

oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl
NIP 956 16 25 127; REGON 870502736
KRS 00000 41692
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

MEMORIAŁ

General Marii Wittek



X 1939 AK

Okr. Kwidzin
Obu. Dobrzyce

Kontakt

Krzysztof Wojtowicz

JAKUBOWSKA Stefania
z d. Wątperek
ps. „Sława”

3913/USK

SPIS ZAWARTOŚCI TĘCZKI — 3313 / WSK

Jakubowski Stefan

ps. „Stawa”

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 -- relacja właściwa ✓

I/2 -- dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 -- inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

III/1 -- dot. rodziny relatora —

III/2 -- dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 -- dot. ogólnie okresu okupacji (1939 -- 1945) —

III/4 -- dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 -- Inne... —

IV. Korespondencja —

.....
.....
.....
.....

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓

VI Fotografia ✓ + pasta I/1

Relacja

I/1 Wspomnienia Stefani Jakubowskiej z d. Wątorok ps. Stewa z okresu okupacji w l. 1939-1945, (mips) K. 10 s. 10. napisane w 2002r.



I/1/1

S T E F A N I A
J A K U B O W S K A
Z W A T O R K Ó W
ps. „S Ł A W A”

**Wspomnienia
z okresu okupacji niemieckiej w latach
1939 – 1945 z terenu województwa
krakowskiego**





I/1/2

Wrzesień 1939 roku zapisał się w dziejach historii polskiej jako tragiczny, już bowiem dnia 1-szego od samych godzin rannych niemieckie samoloty penetrują polskie tereny i w godzinach popołudniowych około godziny 14-tej eskadra niemieckich samolotów dokonuje bombardowania miasteczka Dobczyce położonego w odległości około 30 km od Krakowa, gdzie podczas nalotu bombowego ginie tragicznie 5 osób, w tym dwie z bliskiej rodziny. Już wiadomo – ofiary wojny, zniszczenia pożogi wojennej udowodniły o napaści hitlerowskiej na nieprzygotowaną do obrony Polskę. Zaraz po pogrzebaniu ofiar wojny, na skutek pogłosek, że Niemcy po zajęciu terenów Polski dokonują mordów Polaków, jak również gwałtów – nastąpił niesamowity popłoch szczególnie młodych ludzi. Tak i ja z moją matką, siostrą oraz bratem i innymi towarzyszącymi osobami udaliśmy się na tzw. „ucieczkę”. Zaprzysiężoną furmanką w jednego konika wyjechaliśmy z Dobczyc w sumie 10 osób, praktycznie wszyscy młodzi ludzie w tym i ja przeważnie trzymając się furmanki przemierzaliśmy szmat drogi aż po Janów Lubelski. Ucieczka – to poniewierka, trwała cały miesiąc wrzesień i w czasie tej ucieczki pod Sandomierzem, podczas nalotu bombowego rozbiegliśmy się wszyscy w pobliskie zagrody, przepędzeni przez żołnierzy polskich przy moście nad Sanem. Wszyscy przeżyliśmy szczęśliwie ten nalot samolotów niemieckich, lecz na skutek popłochu i paniki wojsk polskich, jaka powstała w tym czasie zaginął mój brat kilkunastoletni, ale ja idąc na rozstaje dróg w pobliżu mostu na Sanie, zdjęłam białą chusteczkę z głowy i wymachując nią dawałam w ten sposób znak mojemu bratu Stanisławowi, po czym brat mnie rozpoznał i szybko przybiegł do nas byśmy ruszyć mogli dalej, wraz z podążającym tłumem na wschód – aby iść dalej i dalej bez celu. Do domu wróciliśmy w pierwszych dniach października, gdzie z wielką trwogą oczekiwał na nas Ojciec, który miesięczną przymusową rozłąkę przeżył bardzo, w obawie nawet o nasze życie. Wspomnieć tu muszę, że przez cały okres ucieczki pogoda i słońce sprzyjały ludności polskiej, która bez celu dążyła dalej na Wschód.

Po zajęciu polskich terenów przez władze niemieckie, urzędy i większe instytucje zostały obsadzone osobnikami niemieckimi, a po wydaniu przez nich zarządzeń i nakazów, takich jak: ogłoszenie godziny policyjnej, zaciemnienia okien itp. życie dla nas Polaków bez radia i prasy (wszystkie bowiem aparaty radiowe musiały być oddane) stało się szare i beznadziejne. Szaro – jesienne dni i długie wieczory bez światła elektrycznego (siedzieliśmy przy lampkach karbitowych) stały się monotonią życia.

Pierwsze smutne święta Bożego Narodzenia bez brata Janka, który w czasie wybuchu wojny, jako żołnierz czynnej służby wojskowej, do tej pory nie wrócił i nie dał żadnego znaku życia o sobie.

W październiku 1939 roku wrócił z ucieczki brat Bronisław, który z towarzyszącymi mu osobami dotarł aż do Równego, jadąc również konikiem. Zmobilizowany w sierpniu 1939 roku najstarszy z braci Władysław wraz ze swoimi Towarzyszami broni dostał się do niewoli niemieckiej w Szydłowcu, z którego to obozu zbiegł. Ukrywał się najpierw przez parę tygodni na Wierzchowinach w powiecie radomskim a następnie w listopadzie 1939 roku dotarł do Dobczyc, do swojej żony i syna, który w tym czasie się urodził oraz do rodziny.

Zima 1940 roku – to zima stulecia obfitująca mrozami i niezliczoną ilością śniegu trwała bardzo długo, bo aż do 19 marca, dając się dotkliwie we znaki Polakom. W tymże roku na zarządzenie^{nis} odnośnych władz każdy Polak musiał się zaopatrzyć w tak zwaną „Kennkarte” tj. Kartę rozpoznawczą. Pracowałam wówczas jako sekretarka adwokacka w Sądzie Grodzkim w Dobczycach.

Więszymi majątkami ziemskimi zarządzali wytypowani przez Kreishauptmanschaft w Krakowie Niemcy i tak np. w Czasławiu koło Dobczyc, majątkiem Stanisława Bujwida (syna znanego Odonu Bujwida) zarządzał Niemiec von Henke, dlatego o nim wspominam, bo może to on m.in. przyczynił się do tego, że aresztowana w roku 1944 przez Gestapo w Bochni – uniknęłam niechybnej śmierci – o czym opisuje dokładniej później.

Rok 1941 – to napięta sytuacja na froncie wschodnim, jesienią ciągną niezliczone ilości wojsk niemieckich od Myślenic przez Dobczyce i Gdów, dalej na Wschód. A tymczasem w kraju u nas zaczynają się restrykcje, aresztowania i prześladowania Polaków. Wszyscy Polacy przejęci sytuacją bez wyjścia, kontemplują i czekają lepszego jutra. Wolno i w ciągłym strachu mijają szare dni pełne trwogi w oczekiwaniu na coś, co może zmienić ten okrutny los Polaków. W tymże roku wprowadzone zostały tak zwane „Bezugscheiny” (karty zaopatrzeniowe), na podstawie których wydawane zostały racje żywności jak: chleba, cukru (znikoma ilość) marmolady (z buraków i marchwi) oraz materiałów tekstylnych. Natomiast były duże przydziały wódki dla mężczyzn (wydawano je w litrowych butelkach) – wprowadzając przydziały alkoholu, mieli zamiar rozpijać Polaków, aby w ten sposób uśpić czujność Polaków. Pamiętam, że w domu Matka posługiwała się przeważnie sacharyną, gdyż tak małe racje cukru na krótko starczały.

Z wiosną 1942 roku nakazem Generalnego Gubernatorstwa na okręg krakowski zarządzono całkowitą ewakuację ludności żydowskiej. Wszyscy Żydzi w ciągu 24 godzin musieli się stawić z osobistym bagażem na Rynku w Dobczycach. Niesamowity popłoch i rozpacz ogarnęła całą ludność. W umówionym dniu i miejscu zajęchały przymusowe powozy (furmanki konne), które umiejscowiły się przez cały Rynek w Dobczycach, aż po Dziekanowice. Z perspektywy minionych lat jeszcze dzisiaj widzę ten smutny i przygnębiający widok – ludzi, którzy idąc na „drogę przez mękę” wsiadali na furmanki z ogromem lęku i niepewności, że jest to droga bez powrotu. Transport ten trwał krótko 1 godzinę do Wieliczki, a tam czekały już towarowe pociągi, wysypane wapnem. Wróg przeznaczył tą ludność na zagładę do Bełżca, dalszy transport odbywał się w anty-sanitarnych warunkach; ludzie stłoczeni bezlitośnie i w zaduchu w pozycji stojącej i chorzy i starzy musieli kończyć życie nawet niedojechwszy do celu przeznaczenia.

Podziemny ruch oporu, a byli to Żołnierze Armii Krajowej dają znać o sobie i tak latem 1942 na Rynku w Dobczycach pod posterunkiem Policji Granatowej, został wykonany wyrok z rozkazu Podziemia na kominiarzu B., prawdopodobnie za donosicielstwo do władz niemieckich, za działalność antypolską. Wyrok wykonało dwóch młodych żołnierzy A.K. błyskawicznie po odczytaniu tegoż umknęli w pobliskie wikliny, a następnie korytem rzeki Raby – tracąc za sobą ślady. Również z rozkazu Podziemia, zginęli dwaj policjanci granatowi, jeden z Godowa, a drugi B. z Raciechowic.

Te jawne czyny utwierdzały Polaków o życiu i działalności Ruchu Oporu. Ginęli też Niemcy i tak np. na odcinku między Dobczycami a Winiarami przejeżdżający samochodem osobowym dwaj Niemcy zostali zlikwidowani, odebrano im broń i samochód, a nieboszczyków pochowano przy drodze w górnej części nasypu. Akcja udana bez żadnych konsekwencji – a Niemcy zginęli bez wieści.

W okresie zimowym 1942 roku opracowano akcję zdobycia lekarstw, środków opatrunkowych i medykamentów. Mimo godziny policyjnej 5-ciu żołnierzy Armii Krajowej w tym i mój brat Stanisław, pseudonim „Sprytny”, nocą podeszli pod Apteki w Dobczycach, wybili szybkę i zażądali od dyżurującej pani magister farmacji wydania tychże, które zostały załadowane na zaprzężone sanki w białego konika

i bez dzwoneczków drugi brat Władysław przewiózł zdobycz przez Rynek, Czerwoną Górkę do Oddziału Dowództwa A.K. w Lipniku.

W czerwcu 1943 roku przygotowano i zorganizowano napad na fabrykę skór wygarbowanych w Dobczycach przy ul. Podgórskiej. Najpierw zostały przecięte druty telefoniczne, a następnie wezwano portierów, którymi byli Polacy do otwarcia bramy, po czym wkroczo na teren fabryki i na przygotowane 12-cie parokonnych furmanek załadowano skóry podeszwowe, skąd wywiezione zostały do Oddziału Dowództwa A.K. w Lipniku. Garbunek tych skór miał być przygotowany dla wojska niemieckiego. W tej tak bardzo odważnej akcji brało udział wielu żołnierzy A.K. w tym mój brat Stanisław, który powoził pierwszą furmanką w stronę Oddziału Dowództwa A.K. w Lipniku.

W zimie 1943 roku na Krzyżówce w Dobczycach działając przez zaskoczenie dokonano śmiałego rozbrojenia szefa Gestapo w Myślenicach, który w towarzystwie szofera jechał samochodem osobowym. Zdobyto dla Oddziału A.K. tak cenną broń, a w akcji tej brało udział trzech żołnierzy A.K. Po tym fakcie na Krzyżówce została umieszczona tablica w języku niemieckim: „Achtung, achtung – Verboten Banditen” w przetłumaczeniu na język polski : „Uwaga, uwaga – teren zagrożony bandytami”, a przejeżdżający Niemcy w związku z tym ostrzeżeniem na tej trasie omijali centrum miasteczka.

W styczniu 1943 roku zaprzysiężona zostałam do organizacji podziemnego Ruchu Oporu Armii Krajowej, do walki z najeżdżcą hitlerowskim.

Najbliższe z mojej grupy współtowarzyszki to: Zofia B., Janina K., Stefania O., Apolonia B. – które należałyśmy i podlegałyśmy do grupy „Zorzy” Glichowie, tam też niejednokrotnie spotykałyśmy się na zebraniach czy odprawach, a następnie w różnych miejscach w Dobczycach, najczęściej w mieszkaniu pp.Bergelów i Dr Kozłowskiego. Uczęszczałyśmy również na kursy sanitarne, które przeprowadzał i organizował Dr Markocki, lekarz ze Lwowa, który w tym czasie przebywał w Dobczycach, a myśmy były kursantki. Przypominam sobie jak dostałam rozkaz udać się natychmiast w okolice Wiśniowej (przygotowaną podwodą) dowieziono mnie na miejsce, gdzie w chatce wiejskiej pod lasem leżał ranny, młody człowiek z przestrzeżonymi nogami o pseudonimie „Kazik” mieszkaniec Warszawy, którym na zmianę co 2 tygodnie opiekowałyśmy się z „Hanką” z Warszawy. Nie znam losu „Kazika”, gdyż dalszy bieg mojego życia i aresztowania mnie przez Gestapo udaremniły mi kontakt z nim.

Walka z okupantem uwydatniła się na każdym nieomal kroku. Nie tylko zorganizowani ale cała ludność nieomal brała czynny udział w tej walce. Były też represje ze strony okupanta i aresztowania Polaków i takie właśnie aresztowanie przypominam sobie – kiedy przed Sądem Grodzkim w Dobczycach zajęto duże ciężarowe auto, skąd wyruszyli gestapowcy i dokonali aresztowań Polaków mieszkańców Dobczyc; pracowników Sądu Grodzkiego pp.Szczepańskiego Figłowicza, następnie pracownika Zarządu Miejskiego p.Medarda Rachwę, kościelnego Krzysiaka, których na dziedzińcu Sądu dotkliwie pobito, a następnie wywieziono do obozu. Z podanych wyżej aresztowanych po wojnie wrócił jedynie Medard Rachwa, wszyscy inni zginęli.

Od tej pory często nawet nocą zajeżdżali gestapowcy, dokonując tzw. łapanek, musieliśmy niejednokrotnie kryć się a nawet uciekać z domów.

Na biedną ludność wiejską Podkarpacia, nałożone zostały odnośnymi zarządzeniami władz kontyngenty dostaw płodów rolnych w mocno wygórowanych ilościach. Działający w tym terenie Oddział Dowództwa A.K. doprowadził do tego, że

nie wiem na czyj wniosek i z czyjego polecenia, jednak doszło do spotkania w rezultacie tragicznego w sierpniu 1944 roku przedstawicieli Dowództwa A.K. z szefem Gestapo Hammanem z Nowego Sącza i von Henke z Kreischauptmannschaftu w Krakowie na Rynku pod „Florjanem” w Dobczycach, naprzeciwko gmachu sądowego – oczywiście z dużą obstawą „Chłopców z Lasu” jak nazywano potocznie żołnierzy A.K. Po dyskusji jaka wywiązała się w tym miejscu wszyscy razem odjechali w stronę Lipnika. Posiadam pamiątkowe zdjęcie z tego spotkania.

Oczywiście założenia były takie, że celem spotkania miało być ustępstwo władz niemieckich, pod względem żądanej ilości dostaw kontyngentowych, a ze strony Polaków zapewnienie, że nie będą zabijać Niemców, co niejednokrotnie się zdarzało. Spotkanie to nie dało pożądanego rezultatu i zaraz nadciągnęły wojska niemieckie z jednej strony od Myślenic, a z drugiej strony przez Dobczyce, które zdążyły w stronę Lipnika i okolic. Straszna historia, której zaprzeczyć się nie da, rozwścieczeni żołdacy niemieccy pastwili się na biednej ludności polskiej Podkarpacia. Z opowiadań mieszkańca wsi Kobielnik usłyszałam, że żywej duszy nie pozostawili, nawet pastuszek pasący bydło został rozstrzelany. Mój rozmówca powiedział mi, że tylko cudem uszedł z życiem dzięki temu, że pędząc do lasu wpadł do dołu, przysypał się chrustem i dlatego ocalał, mimo, że pędzące wojska przez las szczęśliwie omijały go. Gdy już ucichły strzały w ogniu pożogi dotarł do swego domu z wielką obawą co zastanie – pod drzwiami leżała martwa żona z dzieckiem na ręku również martwym, a obok nich dwoje nieżyjących dzieci - stracił wszystkich najbliższych.

Były też i straty niemieckie – sama widziałam z okna I piętra z lokalu, gdzie pracowałam jak jechały duże samochody ciężarowe wyładowane rannymi i broczącymi krwią żołnierzami niemieckimi – gdyż Armia Krajowa, również dała znać o sobie, wśród żołnierzy polskich byli ranni też kulą Dum – dum.

Tego samego roku w lesie z odpowiednim rozkazem, udawał się z Dowództwa w Lipniku w podróż do Krakowa na rowerze żołnierz A.K. pseudonim „Prawdźic”, Niemcy zatrzymali go na moście w Dobczycach i umieścili go na strychu posterunku Policji Granatowej – zaraz rozeszła się wiadomość o tym aresztowaniu i błyskawicznie zorganizowane zostało tzw. „odbicie”. W tymże dniu na Rynku w Dobczycach stacjonowało wojsko niemieckie i był zainstalowany megafon, z którego żołnierze Wehrmachtu stojący grupkami słuchali jakichś zapowiedzi – w tym znieścaka rozległ się głos w języku polskim: „Polacy kłaść się pokotem”. Byłam w tym czasie na Rynku z jakimś małym dzieckiem i zdążyłam uskoczyć do Bramy i w tym usłyszałam prawdziwą tyralierkę. Z góry cementarnej „Stróżnica” posypał się grad kul z broni palnej, żołnierze niemieccy zdezorientowani czynili popłoch, a w tym zamieszaniu odważni „Chłopcy z Lasu” wpadli na Posterunek krzycząc „Stasiu – gdzie jesteś”, uwolniwszy go biegli z nim pod górę na Górskie i dalej i dalej, by potem ukryć się w lasach. Z niehumanitarnym wysiłkiem dokonywali ucieczki biegnąc i prosząc o wodę. Razem z nimi biegli mieszkańcy Dobczyc i nieśli w wiadrze wodę, którą popijali w biegu uciekający. „Prawdźic” został uratowany.

Pod koniec sierpnia 1943 roku władze niemieckie zarządziły przymusowe wyjazdy młodych ludzi polskich na roboty do Niemiec. Moja siostra Helena młoda 17-toletnia dziewczyna była narażona na taki wyjazd i niepewne jutro. Debata rodzinna ustaliła, że trzeba siostrę uchronić, a ja podsunęłam myśl przewiezienia siostry do naszej najstarszej siostry Marii wprawdzie wysiedlonej z majątku męża na Wierzchowinach pod Radomiem, ale przygarnięta z rodziną przez znajomych do Leśniczówki w miejscowości Grabów nad Pilicą – pod Warką. Jechaliśmy pociągiem

relacji Kraków – Warszawa na stojąco stłoczone w wagonie, a na każdej stacji byli jeszcze chętni do wsiadania. Jakoś dobieśmy do celu tj. stacji Grabów była to już noc, ale cudowny wprost zbieg okoliczności, że w Radomiu do tego samego wagonu wsiadła siostra szwagra Henryka, która doprowadziła nas do celu, nie znaliśmy bowiem drogi, nie byłoby się kogo nawet zapytać, a była to noc, ciemno i las.

Powrotna moja podróż była już w możliwych warunkach, z tym tylko zastrzeżeniem, że przyjechawszy do Wieliczki o północy miałam zamiar przeczekać do rana na stacji, jednak gestapowcy przyszli i psami nas wyrzucili nie pozwalając zostać nikomu. Nie było rady wszyscy podróżni musieliśmy opuścić stację udając się do Rynku, skąd każdy udał się w swoją stronę. Ja nie widząc innego wyjścia poszłam w Kozi Rożek z myślą, że znajomi moich rodziców wpuszczą mnie do domu, abym mogła przeczekać do rana. Niestety obeszłam cały domek stukając, ale bez rezultatu. Nie wiem czy można sobie wyimagować czy fakt autentyczny w ciszy i w ciemności nocy (a była to bardzo wyjątkowa ciemna noc) nie zobaczyłam nikogo a jednak usłyszałam głos: „niespotykane kobieta sama wśród nocy”, no to dictum dobiegłam do jakiegoś domostwa silno już pukając do drzwi. Wyszła kobieta w bieliźnie i z małym pieskiem ofuknąwszy mnie dłaczego po nocy pukam – i zatrasnęła drzwi przede mną. Nie było wyjścia krok za krokiem szłam z Wieliczki brzegiem szosy aż do Dziekanowic w sumie około 10 km. Gdy zbliżałam się do cmentarza w Diekanowicach strach mnie ogarnął wielki i postanowiłam spróbować raz jeszcze gościnności życzliwych ludzi, a była to godzina 5-ta rano. Ciemności egipskie dawały się we znaki, do tej pory nie spotkałam żywej duszy zmarznięta i zmęczona (niosąc ze sobą w ręku walizkę) doszłam do domu, w którym mnie serdecznie przyjęto. Pani domu zapraszała nawet do siebie do łóżka, ale podziękowałam, że jestem bardzo wdzięczna za to, że mnie przyjęli, że posiedzę do białego rana i w ten sposób odpocznę i później pójdę dalej. Momentalnie przy stole siedząc zasnęłam, a jak się obudziłam za trzy godziny – na dworze było już biało od śniegu. Gdy doszłam do domu rodzinnego nikt nie chciał uwierzyć w moje przygody.

W maju 1944 roku noc: „Chłopcy z Lasu” wtargnęli do Urzędu miasta Dobczyce, na frontonie tego gmachu widnieje wspaniały Herb „Wolnego Królewskiego Miasta Dobczyc”, w celu zlikwidowania wszystkich druków tzw. „Büzugscheinów” jak również druków dostaw kontyngentowych. Od tej chwili ustały wszelkie dostawy kontyngentowe, gdyż nie było żadnej dokumentacji.

Następna akcja – z rozkazu Oddziału Dowództwa A.K. mój brat Stanisław o pseudonimie „Sprytny” i 2-ch pozostałych kolegów „Siwy” i „Władysław” udali się do brata Władysława, w celu uzyskania podwody (tj. furmanki i konika) celem przywiezienia dosyć pokaźnego buhaja pochodzącego z majątku niemieckiego pod Wieliczką i dostarczenie tegoż do Oddziału A.K. w Lipniku. Ponieważ buhaj musiał być z kolei przetransportowany łodzią przez rzekę Rabę, wymienieni udali się do miejscowości Winiary do przewoźnika z rozkazem. Początkowo ów przewoźnik odmówił wykonania polecenia, ale z kolei pod groźbą użycia broni zdecydował się na ten transport. Raba była olbrzymia, gdyż po powodzi, wzmocniono najpierw dno łodzi i wielkiego buhaja o wadze ponad 300 kg wprowadzono do stosunkowo małej łodzi przymocowawszy go tylko za rogi do łodzi. Transport ten musiał odbyć się dalej korytem rzeki Raby od początku Winiar, aż do wpadającej rzeczki Krzyworzeki – a to dlatego aby ominąć centrum Dobczyc. Widok był wspaniały szczególnie dlatego, że w czasie transportu ten olbrzymi zwierzak ani drgnął na łodzi, co obserwowali zainteresowani żołnierze przez cały czas podróży – i tak wspaniałe dotarł buhaj do Oddziału Dowództwa A.K.

27/1/4

Latem 1944 roku Niemcy zarządzili budowę okopów przeciwlotniczych i w związku z tym z każdego domu wyznaczony miał być jeden człowiek, kolej przyszła na mnie. Podwodami dowieziono nas do miejscowości Kobyle w powiecie bocheńskim. Po jednym zaledwie dniu pracy na upałach źle się poczułyśmy 3 kobiety: Zofia Wojnarowska, Maria Kulma i ja, w związku z czym rano następnego dnia odmówiliśmy pójścia do pracy z powodu choroby, strażnikami osób przy okopach byli żołnierze Wehrmachtu dwaj pochodzenia czeskiego, którzy w rozmowie z nami podszeptali nam abyśmy udały się do polskiego lekarza i jeśli ten nas uzna, będziemy mieć przerwę w pracy. Jedna ze współtowarzyszek Zofia została uznana przez lekarza chorą i niezdolną do pracy z powodu słońca na plecach i otrzymała zaświadczenie lekarskie o przerwie w pracy na okres trzech dni. Konwojentami naszymi do lekarza byli właśnie ci Czesi i w drodze powrotnej rozmawiałyśmy z nimi udając zdziwienie, że oni pełnią służbę w wojsku niemieckim, na co odpowiedzieli, że chętnie chcieliby przedostać się do Czechosłowacji i wrócić do swoich rodzin, na co my z kolei zapewniałyśmy im pomoc w ucieczce jeśli zdobędą upragnioną broń i amunicję. Po powrocie na kwaterę uradziłyśmy, że w żadnym wypadku nie możemy pogodzić się z tym, aby pracować w ziemi przy okopach i wieczorem tego samego dnia przy pomocy tamtejszej mieszkanki, która nas przeprowadziła – uciekłyśmy wszystkie trzy z Kobyla, nocując po drodze u znajomej owej mieszkanki, a potem od samego świtu prawie drogą wskazaną przez lasy dobrnęłyśmy do Dobczyc i umówiliśmy się, że dopiero za dwa dni tj. w środę spotkamy się razem, gdy odpoczniemy i zastanowimy się co dalej robić.

Pamiętny dzień środa sierpniowa – będąc na Rynku w Dobczycach zauważyłam większą ilość nieznanymi mi ludzi i o dziwo pod samą figurą św. Floriana zauważyłam, że stoi czarna limuzyna, a obok niej nadęty jak paw, szef gestapo z Nowego Sącza Hammann, obok którego stał Niemiec von Henke z Kreishauptmannschaftu z Krakowa, którzy czekali od momentu, kiedy to na motorze nadjechali z ulicy Marwin żołnierze A.K. zaszalutowali i po krótkiej debacie odiechali w stronę Oddziału Dowództwa Armii Krajowej.

Po tym niesamowitym wydarzeniu przybiegła do mnie do gmachu Sądu, gdzie wśród pracowników Sądu Grodzkiego z okien I piętra obserwowałam to dziwne dla mnie wydarzenie – a „Zosia” zakomunikowała mi, że otrzymałyśmy rozkaz natychmiastowego udania się do miejscowości Kobyle, w celu zwerbowania wyżej opisanych Czechów, którzy nas konwojowali do lekarza – aby po ich myśli zabezpieczyć im, przedostanie się do Czechosłowacji do ich rodzin, w zamian za co obiecali dostarczyć broń i amunicję dla naszej Partyzantki. Wyznaczoną specjalną podwodą przybyłyśmy wieczorem do Kobyla i za pomocą Jadzi odszukałyśmy owych Czechów, którzy umówili się z nami na wieczór na skraju wioski. Wieczorem przyszli Czesi na umówione spotkanie w mundurach niemieckich Wehrmachtu, którym opowiedziałyśmy o niebywałym wydarzeniu na Rynku w Dobczycach, utwierdzając ich tym samym o istnieniu Ruchu Oporu w Kraju oraz o pewności pomocy w przedostaniu się tychże do swoich rodzin w Czechosłowacji. Było dość gwarno, a mimo to jakbym słyszała jakieś odgłosy kroków za oknem, które było otwarte, na co zwracałam obecnym uwagę, lecz gdy wyglądnęłyśmy przez okno nikogo nie zauważyłyśmy. Późnym wieczorem Czesi odeszli, a myśmy zanoceowali w tym domku i rankiem około 6-tej byłyśmy już gotowe czekając na umówione spotkanie. Ja stojąc przy oknie i pijąc mleko zauważyłam zdrażających 5-ciu gestapowców, którzy wtargnęli do izdebki, rzucili się na nasz bagaż. W plecaku nic nie znaleźli oprócz osobistych rzeczy i jedzenia, natomiast w płaszczu wiszącym na drzwiach odnaleźli czapkę furazerkę z polskim orzełkiem i opaskę A.K. momentalnie nas wyprowadzili

i na środku wioski ustawili nas pod stodołą kierując do nas 5 luf karabinowych, nie padł jednak rozkaz strzelania, a po chwili załadowano nas na auto, a przejeżdżając koło lasu powtarzali próbę zabójstwa. Były różne reakcje, ja skamieniałam z wrażenia, inna współtowarzyszka niedoli zareagowała chorobliwie, a trzecia bez wrażenia. Jednak nie było nam sądzone tam pozostać i zawieziono nas do więzienia w Bochni, gdzie po przybyciu dokonano osobistej rewizji, a następnie umieszczono nas razem w jednej ogromnej celi, gdzie przebywała już od dłuższego czasu młoda wiejska kobieta. Na łózkach nie można było spać, gdyż były one bardzo zawzzone, w siennikach nie była to słoma, tylko trociny ze słomy, więc po przespaniu jednej tylko nocy stwierdziłyśmy, że lepiej będzie spać na stole i ławkach.

Dozorcą więziennym był Polak, starszy pan – wspaniały człowiek, który pytał „coście narobiły”, że Niemcy tutaj gonią jak opętani, ale zapewniał na nasze pytania „co z nami zrobią” odpowiedział, że po tym co zaszło niedawno na terenie więzienia, że nas nie wykończą. Ten biało – siwy pan w dniu 2 września przyniósł do celi 30 sztuk świeżo zerwanych róż z ogrodu i składał mi życzenia: „Ile razy będzie pani obchodzić swoje imieniny niech pani wspomni dozorcę i więzienie”. To nas podniosło na duchu, byłyśmy zaszokowane i wierzyłyśmy cicho, że może coś się stanie i nie zostaniemy stracone. Chociaż z drugiej strony jako dwie mundantki adwokackie śmiało musiałyśmy twierdzić i trzeźwo patrząc na naszą sprawę – obawiałyśmy się, że Niemcy mając dowody rzeczowe nie będą się wcale bawić w przesłuchania i w najlepszym razie mogą nas umieścić w obozie koncentracyjnym. Przygotowałyśmy linie obrony na wypadek przesłuchań, aby nie było różnic w zeznaniach. Tymczasem przejeżdżająca powózka i pracownicy Urzędu Skarbowego z Myślenic widzieli nas prowadzących przez Gestapo w Bochni i zaraz zaalarmowali mieszkańców Dobrej o naszym aresztowaniu. Najodważniejszym człowiekiem okazał się pan Mecenas Tadeusz Z. pracujący w Sądzie Grodzkim w Dobrej i przybył do Bochni z odpowiednią zbórką zorganizowaną przez pana Bolesława W. dotarł do pana Sklarzewicza, który mu wiele pomógł w tej sprawie. To Mecenas miał odwagę zgłosić się do więzienia do dozorcę, aby ten zaprowadził go pod drzwi celi i przez zamknięte drzwi rozmawiał ze mną: „Stefanio wiesz kto mówi, to twój brat Tadeusz, nic się nie martw robię wszystko abyście wróciły do domu”. Przyjęłam tą wypowiedź z wielką rezerwą, gdyż odniosłam wrażenie, że jest to zwykłe pocieszenie.

Pewnego ranka dwóch gestapowców zabrało mnie najmłodszą na przesłuchanie na Gestapo. Na zapytanie czy znam język niemiecki odpowiedziałam zdecydowanie, że nie!, a to celem przygotowania się do odpowiedzi (znam niewiele). Odczytali mi protokół maszynopisma spisany z naszych wypowiedzi i spotkania. Przesłuchanie trwało od godzin rannych do 12-tej w południe, w czasie którego zarzucano nam namawianie żołnierzy Wehrmachtu do dezercji, padło również pytanie, a co będzie, jeżeli tych Czechów tu przywieziemy – odpowiedziałam zdecydowanie „powiemy sobie do oczu jak było”.

Na tym przesłuchanie przerwano, mnie zabrał tłumacz i odwiózł wraz z szoferem Niemcem samochodem do aresztów miejskich. W czasie jazdy tłumacz (najprawdopodobniej jakiś Ślązak – Reichsdeutsch) odwrócił głowę w moją stronę i podał: „Kobiety coście narobiły” bez zastanowienia odpowiedziałam „jeśli pan jest człowiekiem niech mi pan powie co z nami zrobią”, na to usłyszałam „niech się pani trzyma jak się pani trzyma”, co utwierdziło mnie w pewności mojej obrony i dodało wielkiej otuchy. Po dwóch godzinach pobytu w areszcie przyjechali po mnie, a w sali Gestapo, w której byłam przesłuchiwana czekało już pięciu gestapowców z szefem na czele, tłumacz i 2-ch rozbrojonych żołnierzy czeskich w mundurach Wehrmachtu.

W czasie przesłuchiwania broniąc Czechów twierdziłam, że oni nas źle zrozumieli i że widocznie nie umieją mówić dobrze po polsku. Wyjaśniłam również posiadanie przez nas czapki z orzełkiem polskim i opaskę A.K. podając, że opowiadałyśmy Czechom o wydarzeniu dobczyckim tj. o spotkaniu Niemców z polskimi żołnierzami. Bili się dłońmi po czole gestapowcy, że brednie opowiadam, na co ja użyłam argumentu i powiedziałam „możecie mi nie wierzyć, ale zadzwońcie do Krakowa do Kreishauptmannschaftu do pana von Henke, który brał udział w porozumieniu między Niemcami a Polakami. Oczywiście indagowano mnie, że na pewno należę do organizacji, czemu jednak musiałam zaprzeczyć związana przysięgą i mając na uwadze to, że nie mogę nikogo zdradzić, jeśli muszę zginąć to sama – nikt przeze mnie. Rzucano mi nazwiska takie jak Wątocki, Kozłowski i inne, że należą do organizacji – ja mogłam odpowiedzieć tylko takie słowa: „nie wiem, nie znam”. Ustalili mi czas m.in. dziesięć minut do namysłu i odpowiedzi kto należy do organizacji, w przeciwnym razie jeśli nie powiem pojedzie samochód ze mną do Dobczyc i cała rodzina w moich oczach zostanie rozstrzelana. Ja jednak ze stoickim spokojem odpowiedziałam: „w tej chwili powiem to samo co za 10 minut, ja nie wiem, ja nie znam”. Wyrzucono mnie do następnego pokoju i ustawiono twarzą do ściany, na której wisiała bardzo dużych wymiarów dokładna mapa województwa krakowskiego, na mapie tej widniały chorągiewki białe – czerwone w miejscowościach, gdzie istniał Ruch Oporu, a czarne chorągiewki w miejscowościach, gdzie ginęli Niemcy. Poniżej figurowała legenda w języku niemieckim.

Po 10 minutach wróciłam na salę i w tym czasie nadszedł gestapowiec, który dosłownie zameldował: „Bestimt von Henke mit Banach gesprochen”. To właśnie von Henke potwierdził, że spotkanie takie odbyło się w Dobczycach i od tej pory zaczęto mnie łagodniej traktować i pytano skąd miałyśmy czapkę i opaskę A.K. na co wyjaśniłam, że gdy wracałyśmy do pracy przy okopach nasi Polacy wołali, że nastąpiło porozumienie między Niemcami i Polakami i z tej radości rzucili nam na furmankę. O godzinie 18-tej odprowadziło mnie do celi dwóch gestapowców, a na dziedzińcu tegoż gestapo spotkałam Zofię W., którą z kolei prowadzono na przesłuchanie. Za kilka dni rankiem została wyprowadzona Zofia, a w pół godziny po jej odejściu padły trzy strzały pod oknem naszej celi, chyba jako postrach dla pozostałych. Następnego dnia wyprowadzono i mnie również w godzinach rannych i zaprowadzono na Gestapo, gdzie sam szef w dalszym ciągu mnie przesłuchiwał domagając się przyznania i potwierdzenia, że należę do organizacji – odpowiadałam zawsze to samo, że nie. Z wypowiedzi tegoż pamiętam pytanie: „czy pani wie co panią czeka?” – odpowiedziałam – nie wiem, na co usłyszałam słowa: „wszystko jedno czy dziś czy jutro panią stracimy” odpowiedziałam skromnie: nie jest mi wszystko jedno, przecież jestem młoda, nie znam życia, a tak bardzo chciałabym żyć, ba nawet starzec nad grobem stojący pragnąłby jeszcze żyć. W tym momencie padło zdanie: jest pani wolna – co nie cieszy się pani – zapytałam czy mogę odejść? – o nie tak prędko. I znowu od nowa nieustanne pytania czy należę do organizacji, kto z rodziny i ze znajomych, wypyując niejednokrotnie o personalia licznej mojej rodziny. W końcu szef gestapo usiadł sam do maszyny do pisania i napisał mi zaświadczenie, że przebywałam u nich – taki to „Bescheinigung” otrzymałam do ręki, które miało być pomocne w dostaniu się do miejsca zamieszkania, gdyż na tej trasie nie było praktycznie żadnej komunikacji, jedynie tylko jakiś niemiecki przejeżdżający samochód miał prawo mnie zabrać.

Wychodząc z gmachu Gestapo usłyszałam szybkie kroki podążające za mną i oto pada pytanie o moje nazwisko, struchlałam myśląc, że z powrotem zostanie aresztowana, ale był to człowiek, który miał mnie zaprowadzić do pana

11/10

Szklarzewicza (powinowatego rodziny mojego ojca) gdzie czekał na mnie mój wybawiciel pan Mecenaz, który pokierował całą obroną nas trzech kobiet.

W celi więziennej pozostała Maria, z którą umówiłam się, że jeśli bym była wcześniej od niej zwolniona, przyjdę na ten widoczny z celi więziennej w dali mostek – pokazać się jej, dodając tym samym otuchy pozostałej. Niestety nie mogłam zaraz iść na umówione spotkanie, gdyż w czasie pracy przy okopach było to niebezpieczne. Poprosiłam owego człowieka, który przyrzekł przyjść po mnie i pójść ze mną w godzinach popołudniowych i towarzyszyć mi na spotkaniu. Udaliśmy się na wspomniany mostek, ale niestety Maria już nie wyglądała i zrezygnowana już nie czekała, tym bardziej, że znowu po moim wyprowadzeniu z celi pod oknem więziennym padły ponownie trzy strzały. Przeczując jak moja towarzyszka niedoli Maria musi przeżywać moje odejście, ubłagałam owego pana, aby poszedł do dozorca więzienia oznajmić mu, że jestem wolna, a następnego dnia prawdopodobnie i ona zostanie zwolniona. Dozorca przemili staruszek powiedział, że nie wie co się stało, ale ona jest zupełnie wystraszona i na nic nie reaguje. Wówczas weszłam z nim na teren więzienia i błagałam z kolei Dozorcę, aby otworzył drzwi od celi i wypuścił Marię na korytarz, która na mój widok oniemiała nie dowierzając, że jestem żywa. Schwytałam ją za ramiona potrząsając ucałowałam mówiąc krótko jutro Ty. Ledwo zdążyliśmy uskoczyć z obiektów więziennych spotkaliśmy gestapowców. Nazajutrz została zwolniona Maria i razem wróciliśmy do domu.

Mały domek przy ulicy Królowej Kingi Nr 6 w Dobczycach był prawdziwą oazą polskości, to tu właśnie niemal codziennie spotykała się młodzież, tu czytano „gazetki” pismo konspiracyjne, tu podtrzymywano Ducha Narodu Polskiego i tu również była pracownia stolarska i skład trumien, po które tak często przyjeżdżali przeważnie nocą „Chłopcy z Lasu” dla tych, co ginęli. Ojciec Andrzej właściciel pracowni stolarskiej był bardzo lubiany i szanowany nazywany przez wszystkich „Wujkiem”, do którego tak chętnie garnęli się „Chłopcy”, a który w dniu 17 stycznia 1945 roku w godzinach popołudniowych został śmiertelnie ranny w czasie nalotu bombowego na Dobczyce i w kilka godzin później już w dniu 18 stycznia zmarł tragicznie.

Dobczyce, dn. 12 stycznia 1990 roku.

Rozszumiały się wierzby płaczące
Rozplakała się dziewczyna w głos
Od łez oczy podniosła błyszczące
Na żołnierski na twardej życia los.

Nie szumcie wierzby nam
Żalu co serce rwie
Nie płacz Dziewczyno ma
Bo w Partyzantce nie jest źle.

Wojenka cudna pani
Żołnierzy swych nie pieści
Jak kulą w pierś nie zrani
To zgubi gdzieś bez wieści.

St. No.
"Братомученик А.К.
по адресу Капиан А.К."

II Materiały uzupełniające relację

- J. Domagański, „Świadek niezwykłych wydarzeń”, kopia, k. 1 s. 1
- „Gdzie są chłopaki z tamtych lat”, kopia, k. 1 s. 2.



Świadek niezwykłych wydarzeń

„Urodziłam się 1 lipca 1919 roku w piękny, upalny lipcowy dzień w godzinach popołudniowych jako szóste dziecko w rodzinie Andrzeja i Wiktorii Wątorzków, zamieszkałych w Dobczycach przy ulicy Królowej Kingi nr 6”. Tak rozpoczynają się spisane wspomnienia Stefani Jakubowskiej ps. „Sława”, doprowadzone do roku 1995.

Jak wspomina autorka, dzieciństwo miała radosne i pogodne, szczęśliwe, choć biedne, nieraz bowiem chleb w tej rodzinie musiał być racjonowany. Raba była wówczas wartko płynącą rzeką z przejrzystą czystą wodą, a ta „była rajem dla wszystkich dzieci, z pięknymi plażami, a wokół i wzdłuż niej były zarosłe wikliną brzegi. Wiklina ta dawała cień w dni upalne i broniła przed powodzią, które nie omijały tego miasteczka i zalewały boisko sportowe na Zauroniu aż po Rynek. (...) mala rzeczka w czasie powodzi zamieniała się w ogromne rozlewisko. Pamiętam, że w latach 30. zostalam wraz z rodzicami wywieziona nawet łodzią z terenu domu”.

Pani Stefania, mieszkająca obecnie w Krakowie przy ul. Basztowej, od 40 lat wdowa po Stefanie Jakubowskim, podoficerze WP, tak naprawdę żyje w dwóch miastach: ukochanym Krakowie i nie mniej ukochanym Dobczycach, gdzie w domu swojej siostry ma do swojej dyspozycji pokój.

Przywołujemy też w tym miejscu bywa nad Rabą, mimo ukończonych 87 lat spotkać ją można na ulicach miasteczka oraz na różnych imprezach. Słwutka nieczym gołabek, rozsmiana, nadzwyczaj kontakto- wa i niezmiernie ufną, ostatnio z nieodłączną kulą w ręku. Zadziała pamięcią, przypomina sytuacje sprzed wielu lat, jakby to wszystko działo się dosłownie wczoraj. – *Mój ojciec od świtu do nocy prowadził zakład stolarski – wspomina Stefania Jakubowska. – Ciężko pracował, aby zdobyć środki finansowe na utrzymanie licznej, 10-osobowej rodziny. Mały domek przy ul. Królowej Kingi podczas wojny był prawdziwą oazą polskości, tu właśnie niemal codziennie spotykała się młodzież, tu czytano „gazetki”, tu także była wtedy pracownia stolarska i skład trumien, po które często nocą przyjeżdżali „chłopcy z lasu”.*

Zaraz po wybuchu II wojny światowej 20-letnia Stefania wraz z rodziną, ale bez ojca, z obawy przed nacierającymi hitlerowcami uciekała aż pod Janów Lubelski. Do rodzinnego domu w Dobczycach powróciła na początku października po ponadmiesięcznej tułaczce. Na początku wojny pracowała jako sekretarka adwokacka przy Sądzie Grodzkim w Dobczycach.

Jeszcze przed wybuchem wojny pani Stefania po ukończeniu z wyróżnieniem 7-klasowej szkoły podstawowej podjęła pracę w miejscowym notariacie jako maszynistka. Rodziców nie stać było bowiem na posłanie jej do szkoły poza Dobzycami, gdzie znajdowała się tylko podstawówka. W lutym 1941 r. podjęła pracę



Stefania Jakubowska (z lewej strony) z koleżanką z AK, sanitariuszką Zofią Bergel (z domu Majchrzak)

w biurze notarialnym prawnika Tadeusza Zastawniaka, który do wybuchu wojny pracował w Naczelnej Prokuraturze w Warszawie, a później przeniósł się do Dobczyc. – *Praca u pana mecenas trwała od 15 lutego 1941 r., najpierw w Dobczycach do wiosny 1945 r., a później po przesiedleniu kancelarii adwokackiej w Krakowie przy ul. Grodzkiej do roku 1956, kiedy ustanowiono Zespoły Adwokackie – opowiada „Sława”.*

W 1943 roku została zaprzysiężona do organizacji podziemnego ruchu oporu Armii Krajowej i brała udział w zebrańcach oraz w kursie sanitarnym prowadzonym przez lekarza z Lwowa, dr. Markockiego; w tym czasie w chacie wiejskiej pod Wiśniewą opiekowała się partyzantem o pseudonimie „Kazik” z przestrelonymi nogami. Stefania Jakubowska była świadkiem wielu niezwykłych wydarzeń podczas II wojny światowej, m.in. odbicia z budynku policji żołnierza AK „Prawdziwa”. Polscy partyzanci natarli z góry cmentarnej Stróżnica, zaskoczyli gradem kul żołnierzy niemieckich. – *Uciekający wraz z uwolnionym „Prawdziwym” partyzanci biegli wraz z mieszkańcami Dobczyc pod górę – wspomina pani Stefania. – Biegli, prosząc o wodę, bo byli wtedy w pełni upał. Ludzie biegli obok nich, niosąc w wiadrze wodę, którą żołnierze pili w biegu.*

Zimą 1943 r. na Krzyżówce w Dobczycach partyzanci rozbroili szefa gestapo w Myślenicach, zdobywając przy okazji wymarzoną dla AK broń. Za-

raz potem Niemcy postawili tam – jak wspomina Jakubowska – tablicę z napisem „Achtung, achtung – Verboten Banditen!” (Uwaga, uwaga – teren zagrożony bandytami!), omijając centrum miasteczka. Była również świadkiem niebywałego wydarzenia – latem tego samego roku, dokładnie 14 sierpnia, doszło do spotkania hitlerowców z polskimi partyzantami. – *Było to śródowe przedpołudnie. Oglądałam to*

spotkanie z okien I piętra budynku na rynku, w gronie pracowniczo sądu. Jestem w posiadaniu dwóch zdjęć z tego niesamowitego spotkania. Potażemne fotografie były najprawdopodobniej robione z piętra remizy strażackiej i przedstawiają cztery pertraktujące osoby. Z tego, co wiem AK-owcy domagali się od Niemców ustępstwa jeżeli chodzi o dostawy kontyngentowe, które były niezwykłym ob-

ciążeniem dla miejscowej ludności. W zamian zapewniali, że nie będą zabijać Niemców na terenie tzw. Rzeczpospolitej Raciechowieckiej, a więc w rejonie Dobczyc, Raciechowiec i Wiśniew. Z prawej strony w czarnym mundurze, w rozkroku, znajduje się osławiony szef gestapo w Nowym Sączu Heinrich Hamann, przesiedziony później do Krakowa. Z ręką na boku ubrany po cywilnemu Niemiec von Henke z Krakowa, zarządzający wówczas majątkiem Bujwidów w Czasławiu, natomiast w furazierce i z bronią na ramieniu Zbigniew Banach, „Buk”, z Mierzni, oficer dywersji w Komendzie Obwodu AK „Murawa”. Partyzanci nadjechali od ulicy Marwin, od strony Wiśniew. Obok czarnej limuzyny, obok figury św. Floriana, stał również motocykl z trzema partyzantami, niemal odświętnie ubranymi, w pełnym uzbrojeniu. Po spotkaniu trwającym może kwadrans Niemcy i Polacy odjechali czarną limuzyną w kierunku gór. Z tego, co wiem podobne spotkanie odbyło się jeszcze raz w Drogini, koło nieistniejącego już dworu. Również ono zakończyło się niczym. Niemcy wykorzystali później te pertraktacje w sposób okrutny i bezwzględny.

Rozjuszeni hitlerowcy krwawo zakończyli te rozmowy w sierpniowe południe na dobczyckim Rynku. W połowie września 1944 r. doszło do krwawej pacyfikacji Lipnika i Wiśniew. Wspomniany von Henke z Kreishauptmannschaftu w tamtych latach zarządzał majątkiem ziemskim

Stanisława Bujwida, syna Odon, w Czasławiu koło Dobczyc i jak podkreśla pani „Sława” to dzięki jego wstawiennictwu została ona uwolniona z aresztu w Böchni w 1944 r., zaraz po wspomnianych pertraktacjach na dobczyckim Rynku. Niemiec ten uchodził bowiem za sprzymierzeńca Polaków, co wyszło na jaw ostatecznie pod koniec wojny – został on zabity przez gestapo. – *Siedząc w bocheńskim więzieniu, usłyszałam od gestapowca: „Bestimt von Henke mit Banach gesprochen”, co w tłumaczeniu brzmiało: „Pan Henke rozmawiał z Banachem”. Od tego czasu zaczęto nas – siedzieliśmy w trójkę za posiadaniem furazjerki z polskim orzełkiem i opaskę AK – traktować łagodnie i w końcu wyszliśmy z więzienia – przywołuje „Sława” wydarzenia z pamięci.*

W okresie powojennym (październik – grudzień 1947 r.) „zasmakowała” z kolei polskiego więzienia, siedząc w stymnym areszcie przy ul. Poselskiej w Krakowie (po był w cel mieszczącej 39 kobiet i z kubłem w kącie zrobił na mnie koszmarnie wrażenie” – będzie wspominać po latach). Z opresji – posadzono ją o udział w 80-osobowej spiskowej grupie AK – wyciągnął ją adwokat Zastawniak, u którego rozpoczęła pracę w Dobczycach jeszcze podczas II wojny światowej.

Przez wiele lat pracowała w Urzędzie Prokuratorskim w Krakowie przy ul. Kanoniczej oraz krótko w warszawskiej centrali, będąc m.in. kierowniczką Laboratorium Nadzoru Prokuratorskiego. Z chwilą przejścia na zasłużoną emeryturę w 1979 r. nie zagrażała długo miejsca w kraju, odżyła w niej natura podróżnika. W roku 1985 zmarł jej mąż, pochodzący ze stolicy podoficer WP. – *Pogrzeb odbył się na początku 1986 r. w Warszawie, na Bródnie – przypomina Stefania Jakubowska. – Takie było życzenie męża i moje. Dzieci nie mamy, więc lepiej będzie, jak rodzina męża będzie, pamiętała o nim, a ja kiedyś w Dobczycach na górce Stróżnica zostanę już na zawsze, bo też może dzieci z mojej rodziny będą pamiętały.*

Życie Stefani „Sławy” Jakubowskiej biegnie po kole Mandala. Urodzona niedługo po zakończeniu działań I wojny światowej w mieście nad Rabą, wraca teraz z wolna do swojego punktu wyjścia. Odnaczona Złotym Krzyżem Zasługi porucznik AK mimo upływających lat aktywnie działa w strukturach Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręg Małopolska, prowadząc w latach 1989–2006 kronikę Koła Śródmięście. Służy każdemu zainteresowanemu informacją o wydarzeniach sprzed prawie 70 lat, ale nie tylko: – *Kocham ludzi, a ludzie mnie, tak myślę. Dużo razy w życiu podalam innym rękę, bo warto tak czynić! – dodaje, zęgnając się i umawiając się na następne spotkanie, bo tematów do opowiadania ma pani Stefania w zanadrzu całkiem.*

ANDRZEJ DOMAGALSKI



Rozmowa polskich partyzantów z hitlerowcami na Rynku w Dobczycach

GDZIE SA CHŁOPCY Z TAMTYCH LAT...

akcje bojowe Armii Krajowej
1942 - 1945

Negocjator

Sierpień 1944

W niedzielę 27 sierpnia 1944 roku mieszkańcy Dobzyc stali się świadkami niezwykłego widowiska. Na Rynek miasta podjechała czarna limuzyna. Wsiadło z niej czterech mężczyzn, którzy po chwili rozpoczęli rozmowę. Dwóch z nich, ubranych w zwykłe cywilne marynarki pewnie nie wzbudziło zainteresowania. Ale dwaj pozostali nosili mundury. Ich widok mógł wywołać szok u przechodniów i obserwatorów sceny. Dlaczego? Powód był prosty. Jeden z nich nosił mundur oficera SS, drugi zaś miał na sobie mundur oficera Wojska Polskiego.

Co było powodem niezwykłego spotkania. Kim byli ludzie, którzy znaleźli się wtedy na dobzycykim Rynku. I wreszcie, co mogli mieć sobie do powiedzenia przedstawiciele narodów, które od niemal pięciu lat toczyły ze sobą najokrutniejszą z wojen. Odpowiedź jest zaskakująca – prowadzili negocjacje.

Ten mało znany epizod z okresu II wojny światowej jeszcze dziś wywołuje zdziwienie. Trudno sobie wyobrazić, że polscy żołnierze, członkowie Armii Krajowej, po tylu latach okupacji i terroru będą dążyć do porozumienia z Niemcami w jakiegokolwiek kwestii. Zwłaszcza że przedstawicielem strony przeciwnej był SS-Untersturmführer

się na nowosądeckim codziennie. W sierpniu 1944 roku Hamann piastował już wyższe stanowisko. Był szefem Referatu IV A w Urzędzie Komendanta Sipo i SD w Krakowie. Zajmował się zwalczaniem ruchu oporu. Jego kariera w SS kwalifikowała go na wysokie miejsce na liście do likwidacji. O tym, że zamiast tego będzie partnerem do rozmów zdecydował jeden człowiek. Komendant Komendy Obwodu Myślenice pułkownik Wiktor Horodyński „Kościeszka”.

Horodyński został komendantem w maju 1944 roku. Jego nominacja nie wzbudziła entuzjazmu wśród podkomendnych. Partyzantka w rejonie Myślenic miała długą historię. Na tym terenie już od końca 1939 roku działali ludzie doskonale znający teren i mający do siebie zaufanie. Kościeszka był człowiekiem z zewnątrz. Był oficerem rezerwy, co nie polepszało jego pozycji w gronie zawodowych, jeszcze przedwojennych oficerów. Wreszcie, przejmując Komendę Okręgu Horodyński przywiózł ze sobą żonę, z którą wspólnie kwaterował w siedzibie komendy. Mogło to stworzyć wrażenie lepszej niż inni żołnierze pozycji w oddziale. Mimo to nie spotkał się z żadnymi przejawami niesubordynacji.

W lipcu 1944 roku zaufanie do pułkownika jako dowódcy wyraźnie rośnie. Oddziały Obwodu Myślenickiego prowadzą intensywne działania bojowe. Pod koniec miesiąca odbijają z aresztu w Dobzycach adiutanta Kościeszki, podchorążego Andrzeja

Atmosfera w oddziałach jest bardzo dobra. Kościeszka czuje się silny. Czy to przekonanie o sile własnych oddziałów było głównym powodem rozpoczęcia negocjacji z Niemcami? Jak równy z równym? Tego nie wiadomo. Pewne jest jednak, że Horodyński miał przekonanie co do tego, że jest w stanie kontrolować sytuację na całym terenie pomiędzy Raciechowicami, Dobzycami i Wiśniową. Założył stałą bazę partyzancką z magazynami i nakazywał niszczyć niemieckie tablice i oznaczenia. Stan względnej niezawisłości od okupantów na tych terenach przeszedł do historii pod nazwą Rzeczypospolitej Raciechowickiej.



Motocykl z partyzantami w pełnym uzbrojeniu – asysta negocjacji

Pozostaje pytanie, co chciał osiągnąć Kościeszka decydując się na negocjacje z Untersturmführerem SS. Na pewno nie bez znaczenia był fakt, że po raz pierwszy od niemal pięciu lat pojawiła się okazja do zaprezentowania własnej, rzeczywistej siły. To wszystko? Raczej nie. Stefania Jakubowska „Sława” AK

II/2

T. 3913 / WSK

AK

okr. Kraków
Obw. Dobrzyce

YAKU BOWSKA Stefania
z d. Ugłoterek
ps. "Stawa"

V - Nypisy ze Zrodet

Kraów /
Dobczyce
AK

Jakubowska Stefania z d. Wątorok ps. "Sława"

- sanitariuszka w Dobczycach

ź.: Andrzej Domagalski, *Świadek niezwykłych wydarzeń*,
www.dziennik.krakow.pl: St. Jakubowska, *Wspomnienia z
okresu okupacji niemieckiej w latach 1939-1945 z terenu
wjewództwa krakowskiego*

K.Wojt. 2009

T. 3913 /WOK

AK

Okr. Kraków
Obw. Dobrzyce

JAKUBOWSKA Stefania
zd. Natorek
ps. "Stana"

VI Fotografie







v/12





JAKUBOWSKA Stefania